WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 27 (197)
Rok V
11 VII 1965 r.

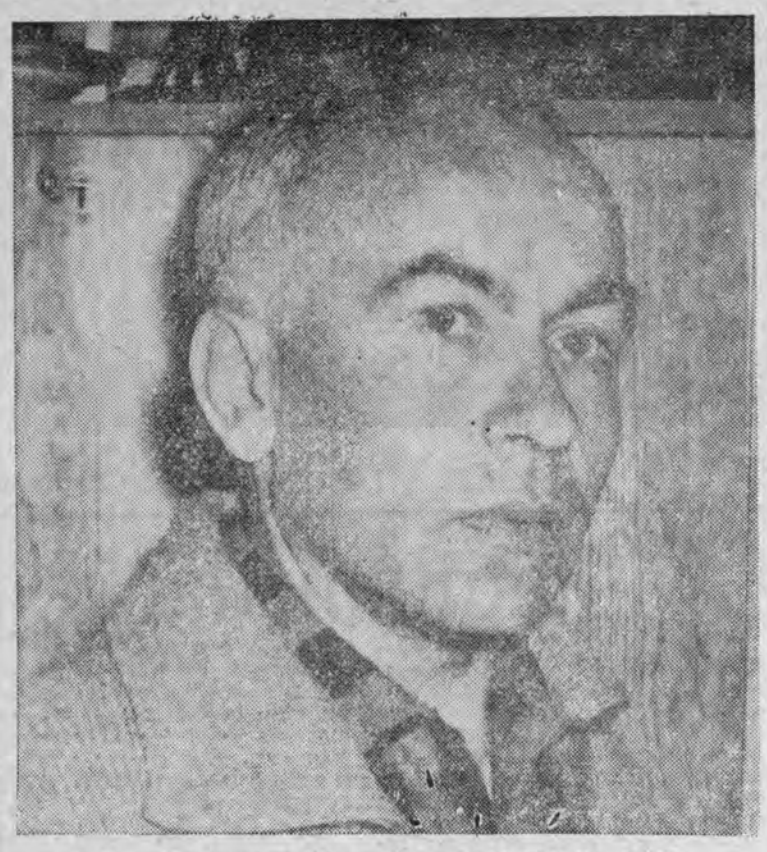

2 lipca br. zmarł wybitny pisarz polski Wilhelm Mach.

WILHELM MACH

* * *

Złota, drgająca mgła nad rzeką, na łąkach, na stokach gór... Przesłania mały domek pod lasem, gdzie samotnie mieszka teraz Cyganka, a może już jej dzieci przyjechały na wakacje — wybrałbym się do niej w odwiedziny, gdyby mi starczyło czasu, dowiedziałbym się, czy odnalazła jakiś ślad po swym pięknym, mściwym szwagrze. I domu Ciotki też nie widać spoza mgły — nie, tam nie miałbym ochoty pójść, ciągle mi się zdaje, że Ciotka gniewnym rozkazem popędziłaby mnie do drewutni, żebym rąbał drzewo. Nie ma Ciotki. Jest Mocna Hanula, postarzała, wciąż kolebiąca pustą kołyskę i śpiewająca swe szalone kołysanki lalce zrobionej ze słomianej kiczki, lalce ubieranej codziennie w świeże sukienki i fartuszki.

Jak drżą kolory świata czekając na pierwszy promień słońca! I jak cicho! To samo okno. Chłodna szyba. Po szybie spływa zielona kropla rosy. Zielona, bo ściana za oknem obrosła gęsto dzikim winem, i wybujały też w ogrodzie krzaki bzów, jaśminów, drzewa owocowe, i zielony lekki półblask — półcień kołysze się tu na każdym miejscu, wlewa się do domu wraz z powietrzem. A i to wiem, gdy tyle myślę tu sobie o tej zieleni, że to nie ona drga bladym światłem za moimi plecami, w głębi pokoju, że to nie ona przeziera mi przez ramię, poprzez grzbiet rękawa, złocistym chwiejnym mżeniem... Słyszę też dobrze szelest topniejących kropel wosku, słyszę, jak skwierczą knoty gromnic, czuję — wraz z zapachem ogrodu — ten żałobny i żałośnie ostateczny powiew od trumny, świec, więdnących wieńców... Daruj mi, Ojcze, że nie czuwam siedząc tuż przy tobie, że nie wpatruję się w twój nieruchomy sen. Widzę cię lepiej i wyraźniej przez to okno, widzę cię żywego w domku pod lasem, nad rzeką, na tartacznym majdanie.

Spałem? marzyłem? wspominałem? Teraz już nie wiem. Noc minęła, a wraz z nocą rozwiały się obrazy przeszłości, czyjeś twarze i gesty, dźwięk dawnych słów. Jeszcze się błąkają ich ostatnie cienie, ostatnie echa pod powiekami czy w mózgu, czy w rytmach krwi. Pożegnałem cię wskrzeszeniem w sobie czasu, kiedy byłeś dla mnie jedyną miarą rzeczy, kiedy byłeś dla mnie pierwszą nauką życia.

Czy to teraz ważne, gdy znowu wstaje dzień, że wszystko to, co przewędrowałem minionej nocy półpamięcią, półsnem, było zapewne inne, znaczyło co innego, działo się inaczej? Ważna jest moja skryta, samotna tęsknota do takiej wiedzy, która usprawiedliwi i uzasadni moją ufność dla życia, moją dobrą wiarę. Opromienić małość ludzkich niedoli, przesłonić łagodnym cieniem milczenia i tajemnicy odrażającą pospolitość ludzkich namiętności i występków, pomyśleć: „Nie wiem", gdy wiem zbyt okrutnie — tego chce moja wiara. Może i wiara, i miłosiernie kłamana wiedza, która jej służy, są omyłką? Lecz jeśli wiedzieć prawdziwie i na pewno znaczyłoby: zapomnieć, pożegnać, rozstać się, zapaść na zawsze w mądrą, to prawda, ale jakże jałową zgrozę?

Nie. Wolę uniewinniającą pobłażliwość snów i wspomnień. Ze snów i wspomnień, jak z ukrytego w lesie źródła, wypływają strumienie baśni, legend. I wszyscy w godzinie strachu i zwątpienia czerpiemy z ich życzliwej ludziom, życiu rzeźkości.

Gdybym się zgodził, że tylko prawda rzeczy dotykalnych, słów wymówionych, zdarzeń niewątpliwych jest gwarancją mojej własnej prawdy, moich przeżyć, pragnień, które sprawiają, że żyję i chcę żyć... Gdybym się na to zgodził...

Mój Ojciec był kłusownikiem. Mój Ojciec miał jakieś błahe zatargi z urzędnikami. Mój Ojciec utrzymywał dwuznaczną zażyłość z popem, swoim niegdyś rywalem. Jego żona lubiła mężczyzn. Sabina była histeryczką, bigotką, może erotomanką. Albert, chłopak przedsiębiorczy, zmarnował się w pieniackiej, miałkiej polityce, w wiejskich romansach. Postrzelony przez niego urzędnik Pszenic (wyzdrowiał, wyzdrowiał...) stracił posadę. Ale wziął do siebie Sabinę, razem wyjechali do Miasta, potem się z nią ożenił. Sabina była podobno dobrą, przykładną gospodynią.

Sabina umarła. Nie, nie wolno, nie można tak, jak podszeptuje wstająca jasność dnia. Sabina umarła. Już to jedno stanowi rację wystarczającą, by bardziej zaufać prawdzie współczucia...

Mój Ojciec był kłusownikiem. Potem drwalem. Potem otrzymał pracę w samym tartaku. A jeszcze później, gdy sprawy kopalni i sprawy tartaku rozdzieliły się ostatecznie, awansował na zastępcę kierownika transportu drzewa i zamieszkał w czerwonym domu. Wtedy byłem już w liceum, w Mieście, i nie uciekałem na wagary. W liceum znowu spotkałem Emilkę.

Oto jeszcze jeden ciąg prawdy, ani już nie legendarny, ani nie skrzywiony szyderstwem. To prawda na nadchodzący dzień. Dzień pogrzebu Ojca.

Nie zapytałem cię Ojcze, i już mi nie powiesz nigdy: więc które jest życie duże, a które małe? Gdzie miara? Czy małe jest życie dzieciństwa, skoro przypina skrzydła wszystkiemu jeszcze nie poznanemu — czy duże jest życie dojrzałe, moje życie teraz, gdy wiem już o kruchości marzeń, o przemijaniu, gdy tak jestem bezradny wobec nieodwracalności twojego odejścia? I w jakie życie, duże czy małe, wstępuje moje dziecko?

Nareszcie? No, nareszcie! Idzie, idzie tu. Już się wynurzył z mgły na drodze, już mija otwartą furtkę i tak, jak to słyszałem w godzinach nocnego czekania, kroki jego chrupią na żwirze ścieżki. Granatowy strój, błyszczące guziki, błyszczący daszek czapki, błyszczące na torbie sprzączki. Listonosz. Wysłannik żywych. Anioł w mundurze. Kołysanie się kroków i drgnienia głowy sprawiają, że twarz jego to różowieje w świetle słońca, to powleka się cieniem — blask, cień, blask, cień... On wie, on już wie, na poczcie tutejszej każdą depeszę czyta się głośno i komentuje, bo tu znają się wszyscy... Czy on się uśmiecha, czy... Niechże na mnie spojrzy, niech spojrzy, czy on mnie nie s ł y s z y? Dlaczego zwalnia kroku? Ach, wydobywa to ze swej skórzanej torby. Trzyma to w ręce. Ujrzał mnie! Podnosi rękę z białym kwadratem papieru.

Ojcze, wybacz, że się zasłaniam ręką od twoich świec.

Gościu wyczekiwany, już idę, już ci otwieram drzwi.

(Fragment powieści pt. „Życie duże i małe")

DOJRZEWANIE SNÓW

WIESŁAW KOSZELA

najpierw wypełza z zakamarków mózgowej kory dotyk ciebie niezwietrzały
potem szum odległych drzew
wakacyjny plusk wody pod wiosłem
płacz dzieci u sąsiada za ścianą
nieznajome kroki na schodach
aż wreszcie kakofonia codzienności nabiera jednej barwy
i przenika w obrazy z dawna zleżałe
pachnące kurzem
śliskie i nieuchwytne jak skrzydło mola
krótki mignięciem fotograficznego flesza
błysk przerażenia snem
trwoga codziennych samounicestwień
i obrazy spadają w głuchą studnię przeciętą przez średnicę ziemi
aby za chwilę trzepotać zakurzonymi powiekami
oślepione światłem
słońca które wytrysnęło na drugiej półkuli

Z „najważniejszych rozmów"

W 1961 roku organizowaliśmy Zjazd Pisarzy pochodzących z Rzeszowszczyzny. Wilhelm Mach cieszył się nim i niecierpliwie nań oczekiwał. Złożyło się jednak tak, że nie mógł być na nim obecny. — *„W pojedynku sprzecznych spraw muszę ulec terminowi wyjazdu za granicę. — pisał — Wyjeżdżam za kilka dni... Bardzo żałuję, że sprawa wyjazdu... przesądza definitywnie przyjazd do Rzeszowa na Zjazd. Niestety! Miałem nadzieję, że moja wyprawa nastąpi może nieco później. Naprawdę, wielką miałem ochotę być na Zjeździe. W nowej sytuacji nie pozostaje mi jednak nic innego, jak życzyć Wam z całego serca jak najpomyślniejszych i jak najmilszych rezultatów tej pięknej imprezy. I proszę też o przekazanie Kolegom Zjazdowym moich najlepszych pozdrowień. Myślami będę przy Was... Bardzo bym się ucieszył, gdyby po Zjeździe mogła Pani znaleźć chwilkę czasu na kilka słów informacji jak było, jak się udało... Na tę dobrą dla mnie ewentualność pozwalam sobie podać adres, pod którym będę w USA do końca września..."*

Wzruszenie nas ogarnęło po przeczytaniu tych słów. Naturalnie do Detroit posłaliśmy dość szczegółową relację ze Zjazdu z załączeniem artykułów na ten temat w prasie. „Cieszę się sukcesami Zjazdu, gratuluję!" — donosił nam spiesznie po otrzymaniu jej.

Potem Wilhelm Mach zaczął często przyjeżdżać na spotkania autorskie; co roku lub nawet częściej. W nawale swych obowiązków i zajęć zawsze dla Rzeszowszczyzny znajdował czas, jej sprawy były jego sprawami, cieszył się jej sukcesami i zasępiał na skutek nieudanych inicjatyw. Był gorącym orędownikiem tej Ziemi, która była częścią jego samego, bez niej bowiem nie wyobrażał sobie samego siebie. Mieliśmy nieraz okazję podpatrzyć go w miłości do tej — jak ją nazywał — „najcieplejszej Ojczyzny", i nie był to czczy sentyment do kraju lat dziecinnych, ale prawdziwa, głęboka miłość, fanatyczne wprost przywiązanie. Miłość, która zresztą wyrażała się w czynach. On przecież nie tylko interesował się rozwojem Rzeszowszczyzny, mówił i pisał o niej, ale angażował się osobiście w załatwianie wielu spraw, udzielał konkretnej pomocy — choćby wspomnieć tu o KKMP, czy ostatnio właśnie o jego zainteresowaniu się sprawą Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie, w której załatwianiu przeszkodziła mu niespodziewanie śmierć.

Spotkaniami cieszył się najwięcej. Traktował je z ogromnym zapałem, chęcią podzielenia się mnóstwem własnych obserwacji pisarskich, z ciekawością na nowe doznania ze spotkań z ludźmi. Ciekaw sądów i opinii czytelników, odbiorców, prowadził nieraz długo w noc zażarte dyskusje (jedna z takich dyskusji została nagrana na taśmy magnetofonowe i znajduje się w zbiorach WiMBP), konfrontując własne sądy z opiniami ludzi innych. Pamiętam, że burze dyskusyjne wywoływały jego „Góry nad Czarnym Morzem", zażarte spory czytelników z autorem toczyły się przez długie godziny. Wilhelm Mach wychodził z tych spotkań ogromnie zmęczony, ostatkiem sił wlokąc się na kolację do hotelu, odprowadzany z przez najbardziej zaciętych dyskutantów — ale równocześnie niezmiernie szczęśliwy i zadowolony. Najbardziej lubił mieć spotkania we wsi. Nieraz robił nam wiele wymówek, dlaczego nie organizujemy jak najwięcej wszystkich spotkań na wsi; wieś miała dla niego zawsze największy urok. Tam widział swe posłannictwo. Znali go mieszkańcy wielu rzeszowskich miast i wsi, mieszkańcy powiatów rzeszowskiego, strzyżowskiego, łańcuckiego, dębickiego, mieleckiego, tarnobrzeskiego, kolbuszowskiego, niżańskiego, brzozowskiego i z ostatnich spotkań w połowie czerwca 1965 r. mieszkańcy Dukli, Sanoka, Leska, Ustrzyk, Łańcuta i Rzeszowa. Ci ostatni mieli możność spotykać się z nim prawie cały rok.

Kreśląc sylwetkę Wilhelma Macha, jaką z ostatnich lat i dni pamiętam, nie mogę nie wspomnieć o jego wprost żywiołowym humorze, dowcipie, radości życia. Pewnego razu po odbyciu cyklu spotkań na Rzeszowszczyźnie donosił: *„...dziękuję serdecznie za bardzoprzednią pierwszorzędną gościnność w wymiarach zarówno organizacyjnych, jak i kameralno-kawowych. W Dębicy, Mielcu i Rzemieniu było k*

(Ciąg dalszy na str. 3)

Bliższa ojczyzna

Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie.
ADAM MICKIEWICZ

Było to zaraz na początku. „Widnokrąg", dręczony wszystkimi chorobami wieku niemowlęcego, nie bez trudu zapełniał swoje szpalty. Mimo pracowitości i dobrej woli kilku ludzi związanych z pismem, z teki redakcyjnej przezierało dno. W tej sytuacji każdy przyjacielski gest liczył się podwójnie, a deklaracja współpracy traktowana była jako spełnienie. Niestety, często takie deklaracje stawały się mgłą. Inaczej było z Wilhelmem Machem.

W połowie stycznia 1962 roku w Rzeszowie odbywało się ogólnopolskie seminarium Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Zarząd Główny Związku Literatów Polskich reprezentowali: Wilhelm Mach i Antoni Olcha. Nie od razu mogłem rozmawiać z autorem „Jaworowego domu" Był bez reszty pochłonięty obradami. Słuchał uważnie wprowadzającego referatu Antoniego Olchy, skrupulatnie notował wypowiedzi młodych adeptów pióra, dwukrotnie zabierał głos. W przerwach, otoczony gromadą tych, którzy nie przekroczyli jeszcze „zaczarowanego progu" własnej książki, opowiadał wrażenia z odbytej niedawno podróży do Stanów Zjednoczonych. Swobodny i przyjacielski, traktował wszystkich jak kolegów, niemal jak rówieśników i serdecznych druhów, z którymi spotkał się po latach rozłąki. Trudno było dojrzeć w jego twarzy zmęczenie. Zdawało się, że jest człowiekiem o niespożytych siłach. Przy obiedzie, między pierwszym a drugim daniem przeglądał numery naszego pisemka. Nie śpieszył się z wydaniem swojej opinii. Dokładną lekturą „Widnokręgu" chciał zająć się dopiero w hotelu. Wiedziałem jednak o planowanych na wieczór spotkaniach autorskich w powiecie ropczyckim. — Nie przeczyta w ogóle, bo kiedy? — pomyślałem. Na drugi dzień zadzwoniłem do hotelu. Mach wybierał się właśnie do studia Polskiego Radia. Filuternie skarżył się na Zbyszka Wawszczaka, że nie daje mu spokoju, że ilekroć jest w Rzeszowie musi stawać przed mikrofonem, a tego nie lubi, bo zawsze ma wielką tremę. Był jednak zadowolony. Umówiliśmy się na dwunastą w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej. Przyszedł na kilka minut przed oznaczoną godziną. I zaraz problem. Czy on, Wilhelm Mach może wypić kawę, czy raczej powinien poprzestać na herbacie, bo jest „śmiertelnie zmordowany" i źle spał w nocy. Mimo wątpliwości wybrał kawę. Rozmowa przeplatana wspomnieniami i dowcipami toczyła się wartko. Mach prowadził ją po mistrzowsku. Ofiarowane poprzedniego dnia numery „Widnokręgu" przejrzał, niektóre wiersze, opowiadania i artykuły przeczytał dokładnie. Szczerze się cieszył, że „Widnokrąg" jest zalążkiem przyszłego pisma literackiego w Rzeszowie. Radził, co należałoby zmienić, co ulepszyć. Interesował się współpracą redakcji z młodymi twórcami. Sam zaoferował swoją pomoc. *„Jak tylko uporam się z tym, co mam na warsztacie — mówił — napiszę coś dla was. To mój obowiązek, to jest przecież moja bliższa ojczyzna, soki tej ziemi ożywiają moją twórczość literacką, tu wracam we wspomnieniach, nie jest to sentymentalizm proszę pana, ja mam do spłacenia dług wdzięczności. Muszę to uczynić, tylko nie teraz, bo niestety wiążą mnie umowy wydawnicze. Ale na początek przyślę fragment noweli filmowej, nosi ona tytuł „Agnieszka", może się na coś przyda".* I tak pierwsza wersja znanej dzisiaj powszechnie „Agnieszki córki Kolumba" w niespełna miesiąc ukazała się na łamach „Widnokręgu".

Później były spotkania i rozmowy z czytelnikami. Wilhelm Mach przyjeżdżał do Rzeszowa bardzo chętnie. Zetknąłem się z nim kilkakrotnie. Ostatnio na spotkaniu autorskim ze studentami Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Odwiedzanie Rzeszowszczyzny było jakby formą spłacania długu bliższej ojczyźnie, o którym wspominał pisarz w czasie naszej pierwszej rozmowy.

W pamięci zachowałem obraz człowieka o wielkim sercu, entuzjasty wszystkiego co nowe i piękne, sprzymierzeńca śmiałych inicjatyw, przyjaciela i orędownika debiutantów. O sobie mówił: *„Optymistą to ja bywałem zawsze i na ogół ten optymizm zawsze się jakoś opłacał i sprawdzał. Przypominam sobie z mojej praktyki redakcyjnej, że zgłaszało się zawsze dużo młodych ludzi ze swoimi pracami. Jakkolwiek wiele z tych utworów wygasło bez śladu, to jednak pewna ich część odkryła nowych pisarzy, którzy rzeczywiście już do tej chwili zapisali ważną kartę w historii powojennego piśmiennictwa".*

CZESŁAW KŁAK

ZAMEK W SANDOMIERZU *Fot. WOJSŁAW BRYDAK*

Spotkania z Wilhelmem Machem

Widziałem go w telewizji katowickiej 30 maja — był członkiem jury w konkursie miast Jasło — Krosno. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył i zaraz powiedział, że w czerwcu przyjedzie do Rzeszowa.

Dziesięć lat temu zaprosiłem Go na spotkania autorskie w rodzinnych stronach w Ropczycach, gdzie zaczął chodzić do gimnazjum i w Dębicy, gdzie w r. 1936 zdał maturę.

Było to jedno z pierwszych Jego wystąpień autorskich, a w każdym razie na pewno pierwsze w bliższej ojczyźnie — w województwie rzeszowskim. Walczyły w nim wrodzona skromność, a z drugiej — poczucie odpowiedzialności. „Istotnie z trudnością mi przychodzi występować w tego typu imprezach, lecz może trzeba i warto?" — pisał do mnie nieco wcześniej. Przyjęcie, jakie Mu zgotowano w Ropczycach, okazało się prawdziwie wyjątkowe; przyjazd pisarza stał się bez przesady świętem całego miasta. W Dębicy grupa kolegów gimnazjalnych wytworzyła niezwykle serdeczną atmosferę. Widać było, że dumni byli ze swego przyjaciela, który już w gimnazjum wyróżniał się talentem literackim i niezwykłą koleżeńskością. Długo ciągnęły się wspomnienia z lat szkolnych... Późnym wieczorem wróciliśmy do Rzeszowa; Mach nocował u mnie. Wzruszenie i talent pisarski kazały Mu natychmiast przeobrazić wrażenia w słowo pisane. Zamiast zasnąć po dniu pełnym wrażeń — zasiadł do stołu i zaczął pisać. Powstał z tego piękny, obszerny artykuł, drukowany w „Nowej Kulturze", który zapewne zostanie przedrukowany w jakimś zbiorczym tomie Jego publicystyki.

Myślę, że było to nie tylko bardzo silne poczucie odpowiedzialności pisarskiej, ale i jakieś niezwykłe przywiązanie do rodzinnych stron, do kraju lat dziecinnych, którym chciał w ten sposób okazać swe synowskie uczucia.

Oto, co pisał do mnie nieco wcześniej, w jesieni 1954 r:

„Ja Panu wyznam, a jest to wyznanie intymne raczej, bo tyczy się bardzo prawdziwych, bardzo osobistych uczuć (takie są zawsze trochę wstydliwe) — że kraj moich lat dziecinnych i chłopięcych żyje we mnie jako coś najgłębszego i aż w pewnym sensie — ostatecznego. Jak piękna, smutna, ale nieskończenie tkliwa muzyka, którą w sobie noszę, choć nikt jej nie słyszy, nikt o niej nie wie — jak światło i barwy pełne łagodnego ciepła i pociechy. Wszystkie spotykane po świecie krajobrazy przymierzam do tamtych — rodzinnych, wszystkie drogi mierzę mimowiednie miarami odliczanymi od domowego progu, a w snach — choć w dzień o tym nie myślę — wracają z najpełniejszą wyrazistością sceny, pejzaże, zakątki leśne i śródwiejskie dróżki i płoty, ludzie na jawie nie pamiętani — z tamtych czasów, z tamtych stron".

A potem pisał o swym świeżo nagrodzonym „Jaworowym domu" — „w całości umieszczonym w pejzażach rodzinnych", pełnym osobistych wspomnień i przeżyć i kończył w ten sposób:

„Nie liczyłem na to, że ktokolwiek zainteresuje się kiedyś tą sprawą, że ją będę komuś zwierzał, lecz i tak było mi przy pisaniu jakoś dobrze i czule, że mogę choć w części wyrazić wierną, wierną miłość dla moich stron w różnych przeinaczonych wprawdzie, lecz mimo to ściśle z pierwowzorem związanych obrazach. Można to wszystko, o czym piszę, nazwać przesadnym „patriotyzmem lokalnym" — lecz ja się tego nie wstydzę, i tak jak inni są dumni ze swoich często wspaniałych i niezwykłych gwiazd, tak ja jestem dumny z mojej biednej piaszczystej Kamionki, która dla mnie była, jest i będzie najpiękniejszym miejscem ziemi".

Tak pisał Wilhelm Mach jedenaście lat temu o tym, jak silnie rozwinięte uczucie do ziemi rodzinnej wpływa na Jego literacką twórczość. Pisał o tym szczerze w liście prywatnym, nie licząc przecież na jego opublikowanie. Wiele już razy czytałem te słowa i zawsze ogarnia mnie wzruszenie i głęboki podziw dla człowieka, który tak ukochał te strony, w których spędził dzieciństwo i młodość.

Z początkiem maja br. występował Mach w audycji telewizyjnej poświęconej miasteczku Stoczek, znanemu głównie z bitwy stoczonej w 1831 r. I tam, mówiąc o krajobrazie okolicznym porównywał go do pejzażu rodzinnego w powiecie ropczyckim i dębickim. Był istotnie wierny aż do końca...

Być może, że to wspomnienie przeczytają niektórzy koledzy nauczyciele. W takim razie doczytajcie je do końca. Mach, który przed rokiem 1939 ukończył kursy nauczycielskie i w czasie okupacji pracował w zespołach tajnego nauczania — miał zawsze duży szacunek i uznanie dla ofiarnej pracy nauczycielskiej. Przeczytajcie jego wzruszający felieton „Szkoła wielkiego burmistrza" w zbiorczym tomiku „Doświadczenia i przypadki".

Zwróćmy też uwagę na niezwykle pozytywną postać nauczycielki w „Jaworowym domu" i na ostatnią, głośną powieść Macha. „Agnieszka, córka Kolumba", która doczekała się przeniesienia na ekran filmowy. To przecież powieść o młodej nauczycielce, którą w niektórych recenzjach nazwano „nowoczesną Siłaczką".

Dedykacja autorska „W ręce Zofii Stopczanki, Nauczycielki, dla Niej i Jej Towarzyszy Nauczycieli" nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, jaki był sąd Macha o nauczycielstwie i jego roli w naszym społeczeństwie.

Niechaj to będzie dopełnieniem wspomnienia o tak bliskim nam pisarzu, człowieku o czującym sercu, które tak wcześnie bić przestało.

TADEUSZ STANISZ

Takim Go pamiętam

Zmarł nie tylko znakomity pisarz, ale także człowiek życzliwy ludziom i światu. Cóż to za wielka dla nas strata — taka była moja pierwsza refleksja na wieść o nagłym zgonie Wilhelma Macha.

Nie miałem wielu kontaktów i zetknięć osobistych z pisarzem. Ale te nieliczne i krótkotrwałe wystarczyły, by jego sylwetka wbiła się mi głęboko w pamięć, aby urzekła mnie promieniejąca ciepłem niego serdeczność i dobroć. Po raz pierwszy ujrzałem go i usłyszałem w Klubie Literackim na Krupniczej w Krakowie. Byłem wtedy jeszcze studentem polonistyki i często bralem udział w publicznych spotkaniach i prelekcjach organizowanych przez Związek Literatów. Przyglądałem się uważnie prelegentowi przed rozpoczęciem odczytu. Wiedziałem tylko, że jest sekretarzem redakcji „Twórczość" i autorem ciekawych fragmentów powieści o okupacji, drukowanej w tymże miesięczniku. Nie wyglądał zbyt imponująco. Niski, o dużej głowie i grubych, jak u Murzyna wywiniętych wargach, zachowywał się tak skromnie, jakby chciał przepraszać, iż ośmiela się zabierać dziś cenny czas słuchaczów.. Ale gdy zaczął mówić... Wygłosił wtedy esej o „Podróży na Wschód" Słowackiego (był to rok 1949 — setna rocznica śmierci poety). Słuchałem z takim napięciem, że chyba nie uroniłem ani jednego słowa. Ileż tam było finezji, głębokiej wrażliwości na piękno poematu, kultu dla Słowackiego, a równocześnie jak urzekająca była forma eseju. Styl rzadkiej urody, płynny, lecz równocześnie precyzyjny i klarowny. Temu odczytowi Wilhelma Macha zawdzięczam swój entuzjastyczny — do dziś trwawający podziw dla poezji Słowackiego. On mnie tym podziwem zaraził.

Później miałem możność słuchać Macha w kameralnej towarzyskiej rozmowie. Wracałem wtedy pociągiem z Gorlic do Krakowa — w tym samym przedziale jechali Wilhelm Mach i Stefan Otwinowski. Mach wracał chyba od swojej siostry, która wówczas mieszkała w Gorlicach. Zaszyty w kąt przedziału udawałem, że drzemię — nie znałem jeszcze wtedy osobiście obu pisarzy i nie chciałem ich krępować. Jakże im wtedy zazdrościłem tej umiejętności i barwności rozmowy, dowcipu i celności uogólnień i wreszcie wspaniałej polszczyzny. Mach opowiadał między innymi o ludziach i sprawach Rzeszowszczyzny, na której się urodził i wychował. Pyszne, finezyjne anegdoty barwne sylwetki, strzępy wspomnień, refleksje filozoficzne formułowane z niezwykłą prostotą, stanowiły jakąś mówioną, spontanicznie powstającą książkę — mądrą, pogodną, przychylną światu i ludziom, i żywy udział na ogólnopolskim seminarium Korespondencyjnego Koła Młodych w Rzeszowie w 1961 roku. Wilhelm Mach w kuluarach niezwykle serdecznie z koleżeńską bezpośredniością rozmawiał z młodymi, zupełnie jeszcze „zielonymi" twórcami. Poświęcał im bardzo dużo czasu, radził, wypytywał o plany twórcze. Nie czuło się w tych rozmowach najmniejszego dystansu — ferowania opinii z wyżyny jakiegoś autorytetu. Tryskał przy tym radością i optymizmem — widać było, że cieszą go ci młodzi ludzie usiłujący się wedrzeć do literatury. Interesowały go zwłaszcza nowatorskie jego zdaniem, próby podejmowania tematu wiejskiego. Bardzo chwalił opowiadania Mariana Pilota z tomu „Panny szczerbate", który miał się dopiero w 2 lata później ukazać. Ale chwalił znowu nie z wyżyn autorytetu krytyka i redaktora „Nowej Kultury", lecz jako wrażliwy i rozmiłowany w literaturze czytelnik.

Taki pozostał mi w pamięci. Entuzjasta urzekający mądrym optymizmem, pogodą i przychylnością dla wszystkiego co ludzkie, twórcze i dobre. Nic w nim nie było z goryczy, sceptyzmu nic z artystowskiej pozy, dumnej wyższości twórcy nad zjadaczami chleba. Życzliwy opiekun i wychowawca młodych talentów, człowiek skromny i dobry. Cóż to za wielka strata!

JAN GRYGIEL

„Od czystej formy do literatury faktu"

Pod takim tytułem ukazała się praca Artura Hutnikiewicza — wykładowcy na Uniwersytecie im. M. Kopernika w Toruniu. Podtytuł brzmi: „Główne teorie i programy literackie XX stulecia", wydana na zlecenie PAN przez Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Jest to — jak osądzili specjaliści — pierwszy w naszym piśmiennictwie naukowym popularny wykład na temat aktualnych zagadnień literackich w minionym półwieczu.

Na tle zwięźle zarysowanej syntezy, ukazującej rewolucyjne przemiany zarówno w stosunkach polityczno-społecznych, jak i w twórczości artystycznej dał autor jasną, usystematyzowaną i przystępnie ujętą charakterystykę takich m. in. reprezentatywnych kierunków i tendencji w sztuce i literaturze XX stulecia, jak dadaizm, ekspresjonizm, futuryzm, formizm, autentyzm, awangarda, nadrealizm, ekspresjonizm, realizm socjalistyczny.

Przejrzysty układ każdego rozdziału przynosi uporządkowaną informację o genezie i historii danego kierunku, szczegółowy wykład jego głównych tez i programowych założeń, wreszcie zwięzłą i krytyczną jego ocenę. Książka, wolna od uciążliwego balastu przesadnej i zbędnej erudycji, omawia zjawiska i problemy starannie wyselekcjonowane i dla zrozumienia współczesnej sytuacji w sztuce światowej najistotniejsze.

Z „najważniejszych rozmów"

(Ciąg dalszy ze str. 1)

wo. — *umarłem kilkanaście razy i właściwie wróciłem do Warszawy jako nieboszczyk i piszę do Pani prawie jeszcze z drugiego świata. I w tym metafizycznym stanie porządkuję papiery do przeprowadzki. Kurz, bałagan, koniec świata.*" Radość i dowcip nie opuszczały go nigdy. Kiedy gościliśmy go przed trzema tygodniami po raz ostatni (któż wiedział, że po raz ostatni!...) z właściwym sobie humorem opowiadał o rozterce, w jakiej był uczestnicząc w jury Turnieju Miast: Jasło — Krosno' „Dałbym obu miastom równą ilość punktów. Wszystko bowiem było wspaniałe — a jednakowo kocham jedno i drugie." Dosłownie zaśmiewaliśmy się, kiedy zaczął nam opowiadać o kłopotach, jakie na niego spadły po sfilmowaniu „Agnieszki, córki Kolumba" Z humorem, a nawet nieomal z beztroską opowiadał też o swej ciężkiej chorobie serca i o tym, że lekarze dziwią się, że jeszcze żyje. „Jestem dowodem na zwycięstwo ducha nad materią, — zdaniem lekarzy od dłuższego czasu nie powinienem żyć". Byliśmy wtedy przerażeni, a on był pełen numoru.

Życie ostatnio miał nadzwyczaj trudne, uwielokrotniał się bowiem w działaniu. W ostatnich listach pisał: „*Nie mam dnia, chwili wolnego czasu. Rozszarpują mnie setki drobnych, a koniecznych zajęć, obowiązków... Najgorsze, że nie mam też czasu na własne pisanie, a bardzo by się chciało! Przepraszam za ten jęk — jest szczery*". I w innym liście: „*...chciałem odpisać jak najprędzej — i jednak znowu minęło tyle czasu! Jest w tym pośredni dowód nie, prawdopodobnego wręcz zagubienia się mojego w czasie. Istotnie od lat nie pamiętam takiego przepracowania i to niestety, nie w mojej autorskiej robocie!" (listy pisane w marcu i kwietniu br.).*

Do końca pozostał Wilhelm Mach wierny Rzeszowszczyźnie. Mimo bowiem niespotykanego od lat, jak twierdził, „zagubienia się w czasie", zgodził się na przyjazd do naszego województwa w czerwcu bieżącego roku. Dokładnie 14, 15 i 16 czerwca, w Dniach Rzeszowa, mimo że zaplanował sobie w tym czasie urlop. Bezpośrednio bowiem przed przyjazdem do nas przebywał w Sopocie. Przyjechał opalony, radosny i jak zwykle najserdeczniejszy; nic nie wskazywało, że nieomal za dwa tygodnie zabraknie go. Tym razem miał spotkania na południu województwa: Dukla, Sanok, Lesko, Ustrzyki. Prosił bowiem koniecznie o Bieszczady. Był tam po raz pierwszy w życiu, a któż wiedział, że i po raz ostatni? Odbył wycieczkę bieszczadzką obwodnicą i urzekło go jej piękno. Umówiliśmy się na następny jego przyjazd w Bieszczady jesienią... Ostatnie spotkanie miał w Rzeszowie z młodzieżą ZMS. Był tym spotkaniem bardzo wzruszony. Było to jego ostatnie w życiu spotkanie z czytelnikami.

Może jest jakaś symetria w życiu ludzi wielkich? Coś nieuchwytnego, co ciągnie ich w ostatnich dniach życia do ziemi rodzinnej? Bo właśnie na tej ziemi, gdzie przed laty, u progu swego pisarstwa, w rodzinnej Kamionce odbył ze swymi przyjaciółmi, bosonogimi chłopcami ze wsi, swoje pierwsze w życiu spotkanie (o czym właśnie podczas ostatniego pobytu wspominał), miał również i ostatni wieczór autorski.

Ziemia rodzinna wołała go. Usilnie prosił, aby mógł pojechać jeszcze do Sędziszowa i zrealizował ten wyjazd. Wrócił pełen refleksji. Nieoczekiwanie zaczął wspominać przeszłość, porównywać ją z teraźniejszością, wspominał Kamionkę, jaką z dzieciństwa pamiętał i jaka jest teraz. Był zamyślony i jakby trochę smutny. — Zawsze był smutny, kiedy wyjeżdżał ze swojej ukochanej Rzeszowszczyzny. Tutaj czuł się chyba najlepiej. Do księgi pamiątkowej WiMBP wpisał kiedyś takie słowa:

„Tak mi dobrze z Wami
Stąd wyszedłem i do tych miejsc z zawsze tą samą, a może coraz mocniejszą tęsknotą powracam.
Nieopisana, jedyna uroda tej Ziemi jest duszą, pocieszeniem, nadzieją.
Ludzie: najlepsi, rodzinni.
Rozmowy: najważniejsze.
Godziny pracy: najbardziej chętne.
Sny: najspokojniejsze."

I kiedy żegnaliśmy się w to słoneczne, czerwcowe popołudnie, kto wiedział, że to nasze ostatnie spotkanie?

LUDMIŁA TOKARSKA

Fot. JÓZEF LIGĘZA

Kultury i oświaty dzień powszedni

Niedawno rozmawiałem z pewnym działaczem związkowym szczebla zakładowego. Wspominał lata pięćdziesiąte, kiedy to sam jako dwudziestoletni ZMP-owiec wybijał na scenie Powiatowego Domu Kultury hołubce. — Mieliśmy zespół prawie jak „Mazowsze" — mówił. — Chór i balet. Na eliminacjach powiatowych zespół zdobył pierwsze miejsce, w wojewódzkich uplasował się na trzecim.

Działacz związkowy, ongiś aktywista kulturalny i sam „artysta" nie może pogodzić się ze zmianą modelu działalności kulturalnej. Dla niego ideałem pozostają nadal tamte hołubce wybijane na deskach świetlicowej sali, a to wszystko co dziś dzieje się w fabrycznym domu kultury (za który z racji swej funkcji również odpowiada) jest tylko echem dnia wczorajszego. Jakieś estrady poetyckie, zespoły zainteresowań, kluby astronautyczne...

Ten przykład wcale nie jest wyjątkowy. W kręgach fabrycznych rzeczywiście ścierają się dwie koncepcje ruchu kulturalnego — tworząc niedobrą sytuację wzajemnego odizolowania placówek kulturalnych i kierownictwa społeczno-administracyjnego zakładu.

Ale jeszcze gorzej jest wówczas, gdy rada zakładowa i inne czynniki fabrycznej władzy nie reprezentują żadnej, nawet tej tradycjonalistycznej koncepcji — uważając sprawy kultury za nieistotne, niewarte bliższego zainteresowania. Chyba że przy okazji dofinansowania lub częściej odfinansowania („trzeba skreślić etat bibliotekarza — kto chce czytać, to sobie książkę kupi" — autentyczne!).

Badania, jakie niedawno przeprowadziła CRZZ na terenie jednego z przemysłowych województw — wykazały, że wiele zakładowych bądź międzyzakładowych placówek kulturalnych prowadzi swą działalność w zupełnym oderwaniu od zakładów.

Niemało jest pracowników kultury działających w przemyśle, którzy nigdy nie byli w hali produkcyjnej, nie mają nawet najogólniejszej orientacji w problemach „swojego" zakładu. Z drugiej strony stwierdzono, że większość rad zakładowych w ciągu ostatnich 2 lat ani razu nie omawiała pracy placówek kulturalnych, nie wprowadziła też do swych planów problematyki kulturalno-oświatowej.

Stąd też nieprzypadkowo jedynym uczestnikiem i odbiorcą dóbr kulturalnych bywają w placówkach związkowych — dzieci i młodzież szkolna. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby dziecięce zespoły i dziecięce audytorium były uzupełnieniem twórczości i konsumpcji dorosłych, nie zaś główną domeną działania tych placówek.

* * *

A w ogóle finansowanie działalności kulturalnej bywa co najmniej dziwne. Na rozrywki artystyczne (często wątpliwej jakości) przeznacza się krocie, na oświatę i czytelnictwo — grosze. Rekordy nieodpowiedzialności i głupoty pobił pewien zakład, wydając grube tysiące na smokingi dla orkiestry jazzowej, a nie zakupując w ciągu roku ani jednej książki dla fabrycznej biblioteki.

* * *

Słyszy się często: brak funduszów, brak bazy. I to stanowi główną przyczynę marazmu wielu świetlic, klubów, zespołów. Kiedy jednak przyjrzeć się bliżej — okazuje się, że jest baza, że są nawet pieniądze, tylko wszystko to rozproszone, bez gospodarza, albo po prostu źle zlokalizowane.

Od pewnego czasu prowadzi się akcję scalania placówek kulturalnych, komasowania funduszów i koncentracji działalności kulturalnej — tworząc placówki międzyzakładowe i międzyorganizacyjne. Trzeba przyznać, że mimo pozytywnych wyjątków — rzecz idzie opornie. Kwitnie partykularyzm branżowy i zakładowy, walczą ze sobą niezdrowe ambicje.

W przełamywaniu tych niezrozumiałych oporów dzielnie toczą boje instancje związków zawodowych i wydziały rad narodowych. Pojawia się coraz więcej placówek, które są wynikiem tych utarczek. Nie zawsze jednak ich żywot jest długi i owocny. W naszym krajobrazie kulturalnym straszą jeszcze puste, zarośnięte pajęczyną świetlice, klubiki, ośrodki należące do instytucji i przedsiębiorstw, które wolą robić mało albo nic na własną rękę niż dużo i dobrze do spółki z innymi.

* * *

Nie sposób pominąć spraw wiejskich, które zasługują na pewno na oddzielne potraktowanie!

Powstał tam wielki ruch, stanowiący zjawisko kulturowe bez precedensu. Rodzą się jak grzyby po deszczu, kluby i klubo-kawiarnie, wypełniają kulturalną próżnię, która istniała w życiu wsi. Wiejskie kluby „Ruchu" — których w ciągu 3 lat powstało ponad 6 i pół tysiąca — stały się autentycznymi placówkami kulturalnymi. Będąc areną życia towarzyskiego wsi, klub spełnia jednocześnie rolę czynnika tworzącego nowe obyczaje, wychowującego.

Patrząc z sympatią na to novum życia wiejskiego musimy i tu zauważyć pewne niedomagania i rozbieżności interesów, „Ruch", który wyposaża placówkę i zajmując się jej stroną handlową, nie może pozwolić sobie na dodatkowe koszty związane z utrzymaniem klubu lub organizowaniem programu. Tym zajmuje się rada narodowa oraz społeczne organizacje, a zwłaszcza ZMW. Nie zawsze to najlepiej wychodzi.

Jest na wsi potentat, który — gdyby dołączył się do tej imprezy — mógłby doprowadzić kluby do rozkwitu. Potentat jednak zwany GS-em, woli organizować konkurencyjne klubo-kawiarnie z wyszynkiem — chcąc nie chcąc, opowiadając się za starym, knajpianym stylem bycia, nie zaś za postępem na wsi.

* * *

Pozwoliłem sobie na kilka sceptycznych uwag związanych ze sprawami upowszechnienia kultury — sądząc, że troska o rozwiązanie tych spraw więcej pomoże działaczom kultury i samej kulturze niż laurka, którą mógłbym wymalować — również korzystając z licznych przykładów z życia.

JANUSZ FASTYN

Bez hołubców

Mity i rzeczywistość

Może nie wszyscy pamiętają, że oprócz Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego działa również Akademia Teologii Katolickiej w Warszawie. Uczelnie te kształcą dla Kościoła duchownych (którzy otrzymali uprzednio święcenia) oraz osoby świeckie.

Uniwersytet Lubelski wznowił pracę naukowo-dydaktyczną tuż po wyzwoleniu Lublina. „Znajdowaliśmy się trzysta kilometrów na zachód stąd — jeszcze za frontem pod okupacją — mówił arcybiskup Kominek na inauguracji roku akademickiego na KUL w 1963 r. — i dowiadywali się, że w Lublinie pod rządami Polski Ludowej już działa katolicki uniwersytet". Uczelnia lubelska jest instytucją utrzymywaną ze środków Kościoła katolickiego. W roku akademickim 1964/65 w jej murach kształciło się 1307 studentów na czterech wydziałach: nauk humanistycznych, filozofii chrześcijańskiej, teologicznym i prawa kanonicznego. KUL posiada 21 katedr naukowych. Studenci i pracownicy naukowi korzystają z biblioteki uniwersyteckiej, która otrzymała duży, nowy gmach wybudowany po wojnie. W roku 1964 biblioteka uniwersytecka wraz z księgozbiorami zakładów naukowych posiadała przeszło 600 tys. jednostek bibliotecznych, tj. pięciokrotnie więcej niż przed wojną. Uniwersytet prowadzi działalność wydawniczą. Poza wydawaniem czasopism — kwartalnika „Zeszyty Naukowe KUL" i półrocznika „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne" oraz roczników towarzystw naukowych: teologiczno-kanonicznego, filozoficznego i humanistycznego, nakładem uczelni ukazuje się wiele prac naukowych. Biblioteka uczelni prowadzi wymianę wydawnictw KUL z 39 państwami. Żywa jest również więź KUL z licznymi uczelniami katolickimi za granicą — w Louvain, Lille, Lyonie, Waszyngtonie, Nowym Jorku. Na KUL przybywa wielu profesorów zagranicznych, podobnie pracownicy naukowi lubelskiej uczelni katolickiej składają wizyty za granicą.

Poza działalnością uniwersytecką KUL stanowi także ośrodek okresowych kursów duchowieństwa, prowadzących z udziałem hierarchii kościelnej.

Akademia Teologii Katolickiej, powstała w Polsce Ludowej, w 1955 roku. Utrzymywana jest całkowicie z funduszów państwowych — Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. W 1933 r. państwo wydało na utrzymanie tej uczelni prawie 5 milionów zł. W obecnym roku akademickim na warszawskiej ATK studiowało 200 studentów, przede wszystkim księży, którzy kształcili się na trzech wydziałach: teologii, filozofii chrześcijańskiej i prawa kanonicznego.

Także ATK prowadzi działalność wydawniczą. Wydział teologiczny wydaje półroczniki „Studia Theologica Varsaviensia", wydział filozoficzny — „Studia Philosophiae Christianae". Nakładem uczelni wychodzi także kwartalnik naukowy „Prawo Kanoniczne".

Tych kilka suchych faktów świadczy o zapewnieniu Kościołowi możliwości szerokiego kształcenia kadr naukowych i podnoszenia poziomu duchowieństwa i aktywu świeckiego.

Zasadniczy proces kształcenia kadr kleru odbywa się jednak w seminariach duchownych, w których uczniowie po kilku latach nauki otrzymują święcenia kapłańskie. I w tym przypadku Kościół nie natrafia na trudności. Dość wspomnieć, że w Polsce istnieje 48 wyższych seminariów duchownych, z czego 24 to seminaria diecezjalne a 24 zakonne. Każda diecezja posiada własne seminarium, co daje jej możliwość uzupełniania i zwiększenia liczby duchowieństwa. W roku 1964 w seminariach duchownych diecezjalnych uczyło się ponad 2000 alumnów, w zakonnych zaś 1100. Dla przykładu przypomnijmy, że w Polsce przedwojennej w roku 1938 w wyższych seminariach diecezjalnych uczyło się 2078 alumnów. Utrzymanie i prowadzenie seminariów duchownych należy całkowicie do władz kościelnych.

O tych wszystkich oczywistych prawdach przekonują się ci, którzy będąc w Polsce chcą widzieć prawdę. Należy do nich wielu duchownych zagranicznych. Tym bardziej dziwi ich później postawa pewnych kół kościelnych, usiłujących uparcie, wbrew faktom, stwarzać wizje rzekomych trudności, a nawet prześladowań Kościoła w Polsce. Komu i do czego potrzebne są takie mity wykorzystywane przez wrogie Polsce ośrodki zagraniczne?

W. NATOWICZ

„Meteory" i „gwiazdy"

Kto wyjaśni, dlaczego jedni aktorzy występują w niezliczonej ilości filmów, sztuk teatralnych, programów telewizyjnych i estradowych, w radiu — inni natomiast, z nie znanych bliżej przyczyn, po pierwszej czy drugiej udanej próbie znikają jakby w niebycie?

Takie „meteory" zjawiają się, błysną talentem... i już ich więcej na ekranie nie oglądamy. A oto przykład niemal klasyczny. Kto dziś pamięta choćby nazwisko młodego aktora, który był Chłopcem w filmie Polańskiego „Nóż w wodzie"? Aktora, który przecież co najmniej na równi z całym zespołem przyczynił się do ogólnego sukcesu tego filmu w postaci rozgłosu na festiwalach, nagród i wyróżnień. Przyniósł on sławę reżyserowi, popularność Jolancie Umeckiej, która tak jak i Chłopak debiutowała w tym filmie. Ich partnerem był wówczas Leon Niemczyk, aktor znany i wytrawny. Tylko Chłopiec z „Noża w wodzie" pozostał bezimienny i niemal nikt dziś nie pamięta, że był nim Zygmunt Malanowicz, podówczas student IV roku PWSTiF w Łodzi.

Podobnie rzecz się ma z wielu innymi „meteorami" polskiego filmu. Np., niewątpliwie utalentowany aktor nazwiskiem Sykutera, który w filmie Jakubowskiej „Koniec naszego świata" stworzył niezapomnianą kreację raportführera SS. Zniknął i on z pola widzenia kamery. Można by podobnych przykładów przytoczyć więcej.

Jednocześnie wykształcił się w kinematografii polskiej typ „gwiazdy" i „gwiazdora", którzy dostawszy się na rynek produkcji filmowej, przeważnie dzięki autentycznemu talentowi, w ciągu kilku zaledwie lat, występują w rolach głównych lub tytułowych, w kilkunastu filmach — co przy naszej niewielkiej ilościowo produkcji, około 25 filmów fabularnych rocznie, jest liczbą ogromną. Ci sami aktorzy występują ponadto w kilkunastu premierach teatralnych bądź telewizyjnych.

Widzowie spotykają się w co drugim lub w co trzecim oglądanym spektaklu, czasem jeszcze dodatkowo na deskach estrady. Często słyszy się ich w radiu. Znani ci aktorzy obsadzani są często w rolach im nie odpowiadających, bądź w widowiskach wręcz miernych. Ta sama (choćby ładna) twarz, ten sam (choćby trafny) styl gry — i od czasu do czasu tylko jakaś rzeczywiście znamienna kreacja.

Powstaje paradoksalne zjawisko: w stosunkowo niewielkiej produkcji filmowej, posiadając wszelkie warunki na maksymalną indywidualizację poszczególnych obrazów i ról aktorskich, idziemy na łatwiznę bez ustannego eksploatowania tych samych „gwiazd" i „gwiazdorów". Uzyskujemy przez to efekt niewątpliwego uniformizmu, który w zasadzie właściwy jest kinematografiom produkującym masowo, setkami rocznie, filmy fabularne. Powtarzanie się tych samych nazwisk i twarzy, być może, zapewnia nawet efekt kasowy, ale — czy o to chodzi najbardziej? „Gwiazdy" nasze „uaktywnione" metodą a la Hollywood stają się elementem kultury masowej, która prześlizguje się po powierzchni rzeczywistego głębszego przeżycia artystycznego.

Nie jest to, oczywiście, „wina" samych aktorów. Grają, to jest ich zawód, często nawet szukają ponad miarę własnych możliwości okazji do wygrania się. Nie oni przecież decydują o obsadzeniu ról w poszczególnych filmach. Robią to reżyserzy i na nich właśnie spoczywa odpowiedzialność za właściwe, perspektywiczne gospodarowanie siłami aktorskimi.

Rozmaite są przyczyny, dla których większość polskich reżyserów chętniej angażuje aktorów już znanych, reprezentujących poza talentem także rutynę aktorską. Często reżyser idzie po linii najmniejszego oporu i angażuje do swego filmu aktorów, co do których jest przekonany, że nie sprawią mu kłopotu, którzy potrafią po kilku choćby wstępnych próbach zachować się nienagannie przed kamerą. Stawianie zawsze na „pewniaka" jest może właściwym zachowaniem się na torze wyścigowym, ale — czy tak należy uprawiać politykę kadrową w przemyśle i sztuce filmowej?

Czasem reżyser przystępuje do realizacji ze słabiutkim scenariuszem w ręku. Chce się ratować przed niepowodzeniem głośnymi nazwiskami aktorów. Łudzi się nadzieją, że, być może, potrafią oni — „gwiazdorzy", ulubieńcy publiczności uatrakcyjnić mdłą fabułę, potrafią do wątków konfliktowych dodać od siebie to, czego nie mieli do powiedzenia sceparzysta i reżyser filmu.

Wydaje się, że potrzebna jest większa dbałość o zachowanie równowagi pomiędzy eksploatacją wprowadzonych już do filmu i znanych dobrze aktorów a angażowaniem czy wręcz poszukiwaniem „nowych twarzy". Wiąże się to z troską o młode talenty, które nie powinny ani gasnąć przedwcześnie jak „meteory", ani oczekiwać latami na debiut, po którym (nawet, jeśli jest udany) — długo, długo głucho. Właściwa zaś eksploatacja rutynowanych „gwiazd", tzn. obsadzania ich w rolach pozwalających w pełni wypowiedzieć się ich indywidualnościom, pozwoliłaby sławie ich błyszczeć światłem może nie tak częstym i migotliwym, ale za to na pewno trwalszym i bliższym sztuce.

T. PŁUŻAŃSKI

HELENA SZUBRA — aktywistka kulturalno-oświatowa GS w Krośnie
Rys. J. SIENKIEWICZ

Dakar 1966 — I Światowy Festiwal Sztuki Murzyńskiej

W kwietniu 1966 r. odbędzie się w stolicy Senegalu — Dakarze jedna z najciekawszych współczesnych imprez kulturalnych o zasięgu międzynarodowym — I Światowy Festiwal Sztuki Murzyńskiej.

Organizatorzy festiwalu stawiają sobie następujące cele:

— zaznajomić młodzież afrykańską i całego świata, wszystkich ludzi dobrej woli, wszystkie zaprzyjaźnione narody z wkładem wniesionym przez ludy murzyńskie do cywilizacji powszechnej;

— umożliwić czarnym artystom spoza Atlantyku „powrót do źródeł";

— dać artystom afrykańskim możność spotkania się z czołowymi twórcami, wydawcami i reżyserami z całego świata.

Rząd senegalski postanowił oddać do dyspozycji organizatorów festiwalu wszelkie pomieszczenia i tereny otwarte potrzebne do przeprowadzenia tej gigantycznej imprezy.

W ramach festiwalu odbędzie się wystawa poświęcona źródłom sztuki murzyńskiej.

Przyznane zostaną też nagrody w następujących działach:

— za najlepszą powieść murzyńskiego pisarza;

— za najlepszy zbiór poezji murzyńskiego poety;

— za najlepszy esej murzyńskiego krytyka;

— za najlepszą pracę o sztuce murzyńskiej (bez względu na kolor skóry autora);

— za najlepszy film o sztuce murzyńskiej (jak wyżej);

— za najlepszy film oświatowy o Afryce (również jak wyżej);

— za najlepszy naukowy film dokumentalny o świecie murzyńskim.

Pierwszą nagrodą w każdym z wymienionych działów będzie wykonana przez artystów afrykańskich hebanowa figurka antylopy inkrustowana złotem.

Ingrid Bergman w sztuce Turgieniewa

Na uroczystość otwarcia nowego teatru „Yvonne Arnaud Théâtre" w Guildford w pobliżu Londynu wystawiona została sztuka Iwana Turgieniewa „Miesiąc na wsi".

W roli głównej wystąpiła Ingrid Bergman. Znakomita aktorka szwedzka powróciła na scenę angielską po 11-letniej przerwie.

Utwór Turgieniewa zainaugurował w teatrze w Guildford festiwal dramatyczny, który potrwa sześć tygodni.

CO WIATR NIESIE...

W numerze 11 dwutygodnika „TEATR" czytamy: „Hasło — eksport ogarnęło nie tylko sfery gospodarcze. W Rzeszowie tamtejsze Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych zorganizowało zespół „Meluzyna", który zdobył wyróżnienie na wrocławskim Festiwalu Małych Form Teatralnych programem „Nie reponsować". Prasa rzeszowska, rada z sukcesów swojej reprezentacji artystycznej, skarży się jednak na to, że rzeszowianie nie mieli jeszcze możliwości zobaczenia „Meluzyny" i jej programu".

To się nazywa być dobrze poinformowanym. Jak bowiem powszechnie nie tylko w Rzeszowie wiadomo, Teatr Poezji „Meluzyna" nie został zorganizowany ostatnio, lecz istnieje już od kilku lat, przy czym zupełnie nic go nie łączy z Przedsiebiorstwem Imprez Artystycznych, gdyż powstał jako zespół amatorski przy Zakładowym Domu Kultury WSK w Rzeszowie. „Meluzyna" uzyskała nie tylko wyróżnienie na tegorocznym festiwalu we Wrocławiu, lecz uzyskiwała kilkakrotnie czołowe miejsca na kilku innych ogólnopolskich festiwalach i przeglądach teatrów poezji. Prasa rzeszowska jest oczywiście rada z sukcesów „Meluzyny", lecz nie znalazła powodu uskarżać się na brak możliwości zobaczenia jej programów, gdyż zarówno spektakl „Nie reponsować", jak i inne, rzeszowianie mogli obejrzeć kilkakrotnie w Domu Kultury WSK. Okazuje się przeto, że w tej informacji prawdą jest tylko to, że „Meluzyna" istnieje.

Niemniej jednak rzeszowscy teatromani wdzięczni są „Teatrowi" i za ten nieco osobliwy dowód zainteresowania sprawami teatralnymi Rzeszowa po długotrwałym i konsekwentnym niedostrzeganiu tego miasta na mapie kulturalnej kraju. Sądzimy bowiem, że i „Rzeszowskie Spotkania Teatralne" — impreza, która istnieje już od 4 lat, a w roku bieżącym zgromadziła teatry ze Lwowa, z Koszyc, Warszawy, Krakowa, Lublina i Kielc również doczeka się kiedyś omówienia na łamach tego skądinąd sympatycznego i zasłużonego pisma.

Swat za 130 zł

Na „rynku matrymonialnym" znajduje się obecnie około 160 ofert panów i dwa razy tyle pań. Rocznie liczba ta rośnie w tysiące.

Za opłatę 130 złotych polskich („zgodnie z obowiązującym cennikiem na rok 1965"), klient przez trzy miesiące otrzymuje aktualne wykazy ofert matrymonialnych. Potem nawiązuje korespondencję. Można też w dyskretny sposób obejrzeć w biurze zdjęcia oferentów wzbudzających szczególne zainteresowanie klienta. Można zaaranżować pierwsze spotkanie na wieczorku zapoznawczym lub na wycieczce organizowanej przez bardziej zapobiegliwego „swata".

Czy to daje jakąś szansę?

Pewna stateczna rodzina rolników, mająca trzy córki na wydaniu, trzykrotnie ze skutkiem skorzysta'a z usług biura matrymonialnego.

W tej „branży" nie ma ani martwych, ani ogórkowych sezonów. Serca ludzkie są niespokojne: gdy już zdecydują wystawić się na licytację — są wytrwałe i uparte.

W POSZUKIWANIU DULCYNEI

Historia Don Kichota, który koshał się w wyimaginowanej Dulcynei, nie jest znowu tak odosobniona. Nie tylko pensjonarki kochają się w aktorach ze srebrnego ekranu. Bywa, że panie w wieku dojrzałym — decydujące się po latach rozczarowań na pomoc pośrednika — także trwają uparcie przy swoich marzeniach z dziewczęcych lat i żądają od „swata" — księcia z bajki. Żeby był przystojny, bogaty, na stanowisku, szlachetnego charakteru, bez nałogów, o zainteresowaniach „ogólnokulturalnych" lub „wszechstronnych".

Ideały! Któż ich nie ma? Oto pewien wytrwały klient, poważny naukowiec po pięćdziesiątce, od lat nęka jedno z biur. Postawił dość sprecyzowane żądanie: „kandydatka musi przypominać straconą przed laty ukochaną narzeczoną, która zginęła w wypadku samochodowym".

Swat nie byłby swatem, gdyby nie wyczuł, że ten człowiek potrzebuje życzliwej pomocy. Wyszukano kilkanaście klientek, odpowiadających licznym, stawianym przez naukowca warunkom. Niestety, żadna nie była tamtą!

EKONOMIKA I MIŁOŚĆ

Okazuje się, że często najmądrzej obmyślona przez ekonomistów polityka zatrudnienia powoduje zakłócenia na rynku matrymonialnym. Do anegdoty przeszła już historia buntu dziewcząt z pewnej wielkiej „babskiej" fabryki po odwołaniu garnizonu wojskowego z ich małego miasteczka.

Inaczej rzecz się ma na nowych budowach wielkiego przemysłu. Pewnego dnia biura matrymonalne zostały zarzucone dużą ilością ofert z jednego kombinatu. „...pomóżcie! W okolicy brak kobiet, a musimy szybko się ożenić, bo będą przydzielane mieszkania" — pisali skoszarowani mężczyźni.

Problem sam w sobie stanowią nauczycielki. „.....nie mogę pozwolić sobie na żadne konkury — piszą często nauczycielki. — Odwiedziny mężczyzny czy spacer z nim lub obecność na zabawie poderwałyby mój autorytet w środowisku...".

AMOR NA WYMÓWIENIU?

W listach, w rozmowach z kobietami składającymi oferty, przewija się ciągle ten motyw: miłość, szczęście, człowiek — przyjaciel.

Mężczyźni stawiają na ogół sprawę prosto: „chcę mieć dom". Nad urodę (choć i ten warunek jest często stawiany) przedkładają wykształcenie (!), a nad majątek — zawód i gospodarność.

Nie tylko „posag" zalicza się do reliktów przeszłości. Równą szansę z pannami mają dziś tak deprecjonowane kiedyś rozwódki i panny z dzieckiem. Zdarza się jeszcze spotkać w ofertach panów żądanie, by panna była „bez przeszłości", ale częściej mężczyzna z dzieckiem poszukuje „pani, co lubi dzieci, chętnie z jednym własnym".

Oficjalnym motywem zgłaszania ofert, szczególnie przez panów, jest „brak czasu" na zaloty. Kobiety łatwiej przyznają się do porażek życiowych. Pracowników biur matrymonialnych wieloletnie doświadczenie uczyniło po trosze psychologami.

„Zapewniamy Pani całkowitą dyskrecję, a fałszywy wstyd jest tylko przeszkodą w osiągnięciu szczęścia i ciepła rodzinnego" — piszą w liście do pań. To samo w wersji przygotowanej dla panów brzmi:

„Może Pan być przekonany, że w korzystaniu z pomocy biura matrymonialnego nie istnieje żaden moment „śmieszności" ani „słabości życiowej".

Istnieje natomiast, jak zawsze w tych sprawach, element ryzyka. Nasze matki poznawały konkurentów na balu lub za sprawą swatki. My — poznajemy w pracy, na urlopach, wycieczkach. Czasem — z pomocą „samorodnych psychologów" i ludzi, którzy wyczuli „ducha czasu"!

Czy to znaczy, że Amor dostał wymówienie?

Przytaczano mi wiele przykładów wielkiej, gwałtownej miłości, łączącej ostatecznie „parę z ogłoszenia". Ale te sprawy pozostawmy do opisania poetom.

KRYSTYNA SIEMIATYCKA

Nowy film Felliniego

Za kilka tygodni ma być ukończony — jak zapowiada sam Fellini — nowy jego film „Giulietta degli Spiriti".

Jest to pierwszy film Felliniego po słynnym „8 i pół". Podobnie jak „8 i pół" było historią o samowyzwoleniu się mężczyzny — wyjaśnia Fellini — obecny film pokazuje historię samowyzwolenia kobiety.

Centralną postać odtwarza żona Felliniego — Giulietta Masina. Obok niej wystąpią Jose de Villalonga, Sandra Milo, Sylvia Koscina i wielu, wielu innych. Główną rolę męską reżyser powierzył mało znanemu aktorowi — Mario Pisu, który w filmie „8 i pół" grał rolę kochanka Barbary Steele.

Oto co mówi Fellini o swoich filmach: „Chodzi mi o to, by słuchano mnie tak, jak się słucha (lub nie słucha) człowieka, opowiadającego różne historyjki w barze. Ponieważ zaś mężczyźni, snujący opowiadania w barach, przeważnie mówią o sobie, może się przydarzyć, że robię to samo w moich filmach. Mam nadzieję, że będą mnie słuchali, ponieważ w moich historyjkach jest coś, co także dla innych może być ważne".

Akcja w tradycyjnym znaczeniu tego terminu jest nader skąpa. Pewna kobieta spostrzega, że jej mąż przestał się nią interesować. Wpływ na nią zaczynają mieć inne kobiety z jej otoczenia: sąsiadka prowadząca światowe życie, siostra, która próbuje szpiegować swego szwagra, przyjaciółka, która próbuje wciągnąć tę kobietę do przygód mistycznych, psychologicznych i spirytystycznych. Kobieta wypróbowuje wszystko: udaje się do biura detektywów, zwraca się do mediów hipnotycznych, szuka pomocy w psychoanalizie, w seansach spirytystycznych, odurza się atmosferą przyjęć, a nawet nawiązuje flirt z przygodnym mężczyzną — wszystko jednak na nic. Miewa wizje i marzenia senne, w których ukazują się jej nagie dziewczęta ukryte w szafach w jej mieszkaniu ożywają lalki z lat dziecinnych, przesuwają się procesje zakonnic w czarnych habitach, na plaży w Ostii z samolotu wojskowego wysiada grupa fantastycznych nagist starożytnych Wikingów — a wśród nich Murzyn z Australii i starożytny Rzymianin... w nowoczesnym stroju kąpielowym.

Jak pisze recenzent filmowy „Neu Zuercher Zeitung", Gideon Bachman, który rozmawia z Fellinim, w filmie tym jeszcze bardziej niż w „8 i pół" dominują elementy czysto wizualne, zaś „oderwanie od rzeczywistości, jakkolwiek daje się obronić z artystycznego punktu widzenia, jest jeszcze większe".

Bachman omawia metody pracy reżyserskiej Felliniego: scenariusz jest tylko pretekstem potrzebnym do umowy z producentem. Film według Felliniego „powstaje w toku powstawania". Bachman cytuje klauzulę do scenariusza, w której Fellini „zastrzega sobie prawo zmiany całego scenariusza, bądź wprowadzenia lub pominięcia scen". „Moim dziełem jest film, nie scenariusz" — stwierdza reżyser zaznaczając, że „wytyczne są przeznaczone tylko dla techników".

Jest to pierwszy film kolorowy Felliniego. W związku z tym warto przytoczyć uwagi reżysera na temat tego nowego doświadczenia: „Stale muszę starać się o skoordynowanie dwóch rzeczy sprzecznych ze sobą: barwy i filmu. Wydaje mi się, że odkryłem, iż barwa ma formę statyczną, nieruchomą, podczas gdy film, rzecz jasna, jest formą ruchu i nieustannie się zmienia. Kamera, aktor, światło — są stale w ruchu. Ale emocjonalne walory barwy zmieniają się wraz z ruchem.

Znamienna jest konkluzja Bachmana:

„Film Felliniego rozsadził swoje ramy. Nie jest to już film o kobiecie, ale amalgamat surrealistycznych i dadaistycznych efektów barwy i formy, w których człowiek odgrywa nieznaczną rolę. Jeśli ten film jest obrazem o wyzwoleniu, to nie o wyzwoleniu kobiety, ale o wyzwoleniu się Felliniego od więzów rzeczywistości i prawdy".

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.